

Martyna Bielska, tekst / Marcin Poważa, grafiki

„Wśród nocnej ciszy płaczemy”

Poziom minus jeden. Pod sufitem niewielkie lucfiki wpuszczają światło dzienne. Odrapane czarne biurko, na nim komputer ze starym monitorem i sprzęt grający. Po przeciwnej stronie na stole półtorametrowej długości akwarium z czystą wodą. Ryby też są, ale nieliczne. Pod ścianą złożony stół do tenisa. W rogu krzesła powtykane w siebie piętkowo. Rozmawiamy w radiowęźle w piwnicy. Żeby tu dotrzeć wylegitymowałam się, w depozycie zostawiłam telefon i laptop z ładowarką, przeszłam przez statyczny detektor, pokonałam kilka elektrycznych bram na kody, w gęstym deszczu przebiegłam przez plac za drutem kolczastym, do budynku oddziału półotwartego zakładu karnego.

Tu wewnętrzny regulamin określa, kiedy skazani mogą swobodnie poruszać się po wyznaczonych obszarach. Są zatrudnieni i mają wewnętrzny grafik pracy, za którą płaci im zakład karny. Na oddziale otwartym więźniowie pracują poza murami więzienia. Na całym obiekcie są 294 pryce. W celach od czterech do dwunastu osób. Wolnych miejsc około dziesięciu. Rotacja jest każdego dnia.

Przed świętami osadzeni malują obrazy, kleją kartki bożonarodzeniowe, tworzą bombki na choinkę, składają świece. Wszystko na cele charytatywne i pomoc potrzebującym dzieciom.

Siedząc przy biurku w radiowęźle, czuję się, jak na przesłuchaniu. Tyle, że to ja pytam.

Fajerwerki

z za krat

TOMASZ, 38 lat

W więzieniu spotyka się z kapelanem prawosławnym, chodzi na msze. We wtorek i czwartek może się wyśpowiadać i wspólnie pomodlić. Przed świętami angażuje się w więzienne akcje pomocy lokalnym stowarzyszeniom. Ręcznie robi pocztówki i bożonarodzeniowe ozdoby.

– Czas przedświąteczny skłania do refleksji, przemyśleń, jakichś wyrzeczeń, postanowień. Jest widzenie z rodzinami organizowane przed świętami – mówi wpatrzony w podłogę.

Tomasz pochodzi z Białegostoku. W celi spędzał święta ponad dziesięć razy. Zanim trafił do tej placówki, wyroki odsiadywał w więzieniach w całej Polsce.

Szkołę zaczynał w Czarnym. W Iławie siedział w zakładzie dla młodocianych. W tym zakładzie karnym jest od roku. Poprzedni, trzyletni wyrok odsiedział w tej samej placówce. Anonimowy alkoholik.

– Miałem karę łączną na 20 lat więzienia, wyszedłem na warunkowym zwolnieniu. Do końca zostały trzy lata i osiem miesięcy – wylicza. – Za nadużywanie alkoholu odwiesili mi wyrok i wróciłem do zakładu.

Udowodniono mu rozbój, kradzież i pobicia. Sam mówi, że to podwórkowe młodociane sprawy. Pierwszy raz skazany w 1997 roku. Ma pięciu braci, z których jeden już nie żyje. Reszta rozproszona po świecie. Jest z nimi w kontakcie.

– Byłem niepokorny, pyskowałem do sędziów – widzę, że mu gorąco i ma krople potu na skroniach.

Z prawem zaczął grać mając 17 lat. Motywów działania nie pamięta. Winą obarcza głupotę i młodzieńczą beztroškę. – Nic rozsądnego plus moja lekko-myślność – dodaje.

Po długoletnich odsiadkach wyszedł i pił. – Może dlatego, że za długo siedziałem w więzieniu i wolność mnie przerosła – tłumaczy się teraz. Liczy, że za trzy lata będzie żył inaczej.

Na wolności zostawił żonę i 3,5-letniego syna Gabriela. Ślub wziął w 2013 roku zaraz po wyjściu z zakładu karne-



go. – Moja narzeczona czekała wtedy na mnie – wtrąca. – Syn myśli, że jestem w szpitalu. Jest jeszcze za mały, żeby wiedzieć, gdzie jestem. Nie widuję go bezpośrednio. Za to dzwonię codziennie i ze skajpa w każdą sobotę korzystam. Śpiewam mu piosenki. Pyta mnie, czy jestem zdrowy i co może zrobić, żebyśmy wyzdrowiali. Nie chcę, żeby tu przychodził. Po co ma pamiętać tatę z więzienia. Może wszystko inaczej się potoczy i nie będzie musiał o tym wiedzieć, bo ja się bardzo wstydzę i żałuję przeszłości – niemal szepcze.

Pytam o nieco wyblakłą kropkę przy lewym oku. Po tatuażu syn przecież się dowie, gdzie był. Dolne powieki jak w permanentnym makijażu, tyle że kolor niestandardowy.

– Zdążyę wybarwić zanim dorosnie. Za małolata to zrobiłem, też w dziewięć-

dziesiątym siódmym. Takie po prostu wzorki – niechętnie, ale wreszcie przyznaje się, że miał epizod z grypsującymi. – Teraz też – dopowiada już z większym przekonaniem.

Żeby znowu wcześniej wyjść z paki pracuje w ekipie remontowo-budowlanej na terenie zakładu karnego, działa w pracowni plastycznej, kończy wyjazdową terapię alkoholową w Garbalinie. Wcześniej chodził na zajęcia o agresji, edukacyjne o alkoholu, zaliczył kurs glazurnika. Czyta książki.

– Najbardziej tęsknię za rodziną, za dzieckiem. Żałuję, że pod wpływem alkoholu kierowałem się różnymi emocjami, nie zauważałem tego, co najistotniejsze w moim życiu, czyli uśmiechu dziecka, starań żony. Przerosła mnie ta wolność, zachłysnąłem się nią. Trafiłem na izbę wytrzeźwień – mówi, że wtedy

z chorobą alkoholową nie krył się i nie walczył.

Teraz pracuje od ósmej do czternastej. Za remont wnętrza i usuwanie usterek w budynku ma prawie 13 złotych za godzinę. – Pieniądze wydaję na zakupy na wypisce. Część idzie na zadłużenie komornicze z tytułu alimentów na Gabriela, część na kasę żelazną na wyjście, część na aktywizację zawodową i pomoc postpenitencjarną i podatki – wymienia obowiązkowe składki.

Po wyjściu chce wyjechać z rodziną za granicę, ale myśli też o działalności budowlanej. Wcześniej pracował na budowach, przy wykończeniach wnętrza, w sezonie przy elewacjach. Na wolności skończył przyuczenie do zawodu na blacharza-lakiernika w cechu rzemieślniczym. Półtora roku pracował w zakładzie kamieniarskim, gdzie wcze-



śniej zamówił pomnik zmarłym rodzicom. Odwiedzali go w więzieniu, zanim zachorowali na nowotwory. – Też byli alkoholikami i jedno złożyło się z drugim. Można powiedzieć, że jestem dzieckiem DDA, ale mogłem kierować się inaczej – zaznacza, że to niczego nie usprawiedliwia.

Po warunkowym zwolnieniu, miał sądowy nakaz powstrzymywania się od picia. Zaczynał kilka terapii antyalkoholowych. Przerzywał je, potem zaszywał esperal i wracał na kolejne sesje terapeutyczne. Miał już syna, ale przerosły go frustracja i brak motywacji. Pasma niepowodzeń i stracony dach nad głową po śmierci rodziców. – Zaczęło mnie to przerastać wszystko, nie dawałem sobie rady i poddałem się. Byłem za słaby – mówi teraz. – Cele na oddziale mamy pootwierane i może-

my chodzić sobie z jednej do drugiej. W Sylwestra zawsze jakieś ciasto, czekolada i kawa. I patrzymy na fajerwerki przez kraty.

Pogodzony z losem

ŁUKASZ, 36 lat

Trzecie święta w więzieniu. Od trzech lat pozbawiony wolności, ponad trzy do końca odsiadki i trzecia kara. Pierwszy raz skazany w wieku 20 lat. Pochodzi z Białegostoku. Zawód wyuczony tokarz-frezer. Odpłatnie pracuje w więziennym radiowęźle. Kiedy rozmawiamy, siedzę na jego fotelu.

– Z pomówienia wszystko – szydzi. – Za niektóre zasłużyłem. Normalne kradzieże z domów, sklepów i bezpośrednio. Bo szybki pieniądz. Teraz znalazłem się w nieodpowiednim miejscu. Nie popełniłem przestępstwa – wypiera się. – Czasami impuls, czasami życie popycha w tę stronę. Wydawało mi się, że powoli swoje życie zaczynam układać, a tu niefortunny wypad i jestem z powrotem.

W przerwach w odsiadkach pracował, miał kobietę, wynajmował mieszkanie i zarabiał. Uważa, że ostatni wyrok dostał przez niefart: – Wsiadłem z kolegą do samochodu, nie wiedziałem, że coś narozrabiali, kiedy zatrzymała nas policja. W grupie byłem jedyny recydywista, reszta niekarana wcześniej. Skoro recydywista to brał udział. Nie dało się wypłatać, mimo że miałem świadków.

Skazany za pobicie, współników nie wkopał. Do pobitego jeździł i próbował się dogadać. – Powiedział, że nic go to nie obchodzi. Był pijany wtedy, a ja go nie znałem. Mnie tam nie było. Nie udało się tego udowodnić ze względu na rezydwy – przekonuje.

Pytam o tatuaż nad czołem tuż przy linii włosów.

– Dawno temu.

– To takie namaszczenie?

– Przyzwyczaiłem się do niego – i odmawia rozszyfrowania skrótu już trochę wyblakłych liter.

W ubiegłym roku przed świętami malował obraz dla dzieci na aukcję charytatywną. Kilka tygodni temu wyklejał pocztówki i składał świece. – Czasami fajnie jest zrobić coś od siebie dla kogoś, bezinteresownie – słyszę dumę w jego głosie.

Święta spędzi w celi: – Wtedy każdy jest wyciszony albo stara się nie myśleć. W celi dzielimy się oplatkiem. Po paru latach w więzieniu człowiek akceptuje to, gdzie jest. Godzi się z losem.

Ostatni

więzień systemu

JAROSŁAW, 46 lat

W zakładach karnych spędził 21 lat. Do końca odsiadki zostało mu prawie pięć. Skazany za zabójstwo wyrokiem sądu wojkowego. Pytam o okoliczności. Zastanawia się dłużej. Milczymy.

– Lata płyną, mi jest coraz bardziej z tego powodu przykro. Do takiej sytuacji nie można się zdystansować. Życie człowieka to dobro najwyższej miary. Nie ma nic ważniejszego na ziemi. I jeśli

komuś to życie się odbiera to opowiadanie o tym i wchodzenie w szczegóły jest dla mnie ciągle trudne – słyszę i odczuwam próbę odwrócenia mojej uwagi. Nalegam.

Pochodzi z Bieszczad i tam zabił, jako żołnierz na przepustce. Zanim na początku 2015 roku trafił do półotwartego zakładu w północno-wschodniej części kraju, był rzuwany po różnych zamkniętych więzieniach.

– Odbywam ciągle ten sam wyrok. Warunkowe zwolnienie po 18 latach zostało odwołane, bo dopuściłem się dwóch przestępstw, zagrożonych karą grzywny i karą więzienia. Byłem prawie pięć lat na wolności. W jakiś dziwny sposób zapomniałem, że jestem karany i na warunkowym – nie chce wyjawiać, za jakie czyny wrócił do więzienia. Mówi tylko: – Kara, ze względu na niską szkodliwość czynu zawinięcia. Sąd ustalił, że jestem człowiekiem zdemoralizowanym, pomimo, że spędziłem połowę życia w zakładach karnych. I mnie skazał. Szkodę naprawiłem, osoba poszkodowana zgodziła się na moje dobrowolne poddanie się karze, przyjęła zadośćuczynienie. Ale i tak odwołano mi wcześniejsze zwolnienie.

Po bliskich z tamtego czasu zostały mu tylko wspomnienia. – Moja rodzina nie wybacza takich sytuacji. Ja się z tym godzę i rozumiem. Przez 26 lat nie miałem z nimi kontaktu. Nawzajem tego pilnujemy. Mój najstarszy brat był doradcą, w ówczesnych czasach jednego z bardzo wysokich oficerów polskich przy NATO, więc proszę sobie wyobrazić, jakiego wstydu musiałem narobić temu człowiekowi – wspomina.

– Nie masz żalu do rodziny? – dopytuję.

– Pewnie, że nie mam. Rodzina oparta jest o pewne zasady i wartości. Ja

kompletnie je połamane. Trudno jest teraz, żeby to w jakiś sposób zreanimować. Raz, że nie mam ludzkiej odwagi, a dwa – nie wiem, jak to zrobić, nawet gdybym próbował.

Przez pięć lat na wolności najwięcej czasu spędził z żoną w jej zakładzie fryzjerskim. Zajmował się domem i ogrodem. Czasami wpadało coś dorywczo. – Później złapałem bakcyla, że pielęgnacja i koloryzacja włosów to moja bajka – ożywia się.

Po kilkunastu minutach rozmowy wracam do motywów zabójstwa.

– Po tylu latach sam czyn traci na siłach. To sposób, w jaki się o nim wypowiadamy jest bolesny. Psychometrycznie nie jestem do tego przygotowany. To nie jest jakaś metoda wycofania się tylko bezradność – tłumaczy mi. – Mieszkałem w takim miejscu w Bieszczadach, że jeśli ktoś miał gram ambicji po szkole podstawowej to musiał wyjechać przynajmniej 100 kilometrów dalej. Najczęściej jeździliśmy do Krakowa albo do Warszawy. Jeśli ktoś nie pojechał to był źle postrzegany. Duże miasto mnie zgubiło. Nie chcę się usprawiedliwiać. Na początku uczyłem się i od razu pracowałem. Potem musiałem pójść do wojska. Byłem w jednostce na Balicach w Krakowie na lotnisku.

– Chciałeś kogoś okraść? – dopytuję kolejny raz.

– No to się tak zadziało, to był napad. Kwalifikacja czynu została w ten sposób opisana.

– Przypadkiem doszło do zabójstwa?

– Nie ma czegoś takiego jak zbrodnia doskonała.

– Zaplanowałeś to?

– Jeśli człowiek dopuszcza się czynu to jego działanie i motyw sprawczy jest w pewnym sensie planowany. Ale nie

było tak, że miesiąc wcześniej sobie planowałem czy typowałem ofiarę.

– To jakie były okoliczności?

– Kiedy obudziłem się na żandarmerii wojskowej i przedstawiono mi zarzuty, to myślałem, że ktoś mnie w coś wkręca.

– Byłeś pod wpływem jakichś środków?

– Tak, alkoholu. Uznałem, że to jest niemożliwe, że nie jestem do takich rzeczy zdolny.

– Pamiętasz moment, jak do tego doszło?

– Bardzo słabo, ale to chyba mechanizm wyparcia. Człowiek zapiera się tego typu zdarzeń, obrazów, sytuacji, miejsca, ponieważ tak jesteśmy stworzeni. Niewyobrażalność czynu, wstyd, strach to ciężar nieprawdopodobnie emocjonalnie gatunkowo złożony. Tworzą się jakieś blokady w umyśle i człowiek jest w stanie nawet sobie imię i nazwisko zmienić w głowie, żeby nie mieć z tą sytuacją nic wspólnego, jeśli ma chociaż gram ludzkiego uczucia w sobie – tłumaczy.

Kiedy pobił, aż zabił miał 20 lat. Żonę poznał, kiedy już był w więzieniu.

– Początki były na zasadzie: co tam u ciebie słychać? Słyszałam, że siedzisz? Zналиśmy się bardzo słabo i tak przez 14 lat to trwało. Nie oczekiwaliśmy od siebie kompletnie niczego, żadnych zobowiązań.

– Jak została twoją żoną?

– Kiedy wychodziłem na przepustki, zaczęliśmy się spotykać. Potrzebowałem kogoś w swoim życiu ze zdrowymi emocjami, mając na co dzień plejadę patologii i ludzi, którzy byli skazani na siebie i ciasną przestrzeń, którzy nigdy nie powinni opuszczać zakładów karnych, bo jeszcze coś złego się stanie,

mimo że wszystko złe już się stało. To ten głód emocjonalny był tak mocny, że postanowiłem się ratować. Wszystko trzeba zacząć od siebie. Nie można wymagać od kogoś, żeby mi pomógł, kiedy sam sobie nie chcę pomóc. Zacząłem próbować siebie uzdrawiać.

To nie było takie proste. Po wyjściu z zakładu karnego okazało się, że ten fizyczny zakład karny nie jest taki straszny, jak więzienie własnego sumienia. To było najboleśniejsze, nie tylko na drodze terapii. Te rzeczy porządkowałem i one działają do teraz.

Nie mówię o zabójstwie i morderstwie tylko nazywam to pozbawieniem życia – wyjaśnia mi, kiedy dyskutujemy o wytłumaczeniu sobie własnej zbrodni. – Nie dlatego, żeby kwalifikację czynu osłabić, ale nie stać mnie na więcej. Boję się tamtego okresu. Nie dopuszczam pewnych myśli. Wiem, że w uszach osoby, która to słyszy to trochę słabe, ale jest dla mnie jedyną obroną, żeby funkcjonować w przestrzeni publicznej i przestrzegać pewnych zasad i norm jako dobro ogólnie pojęte.

Jarosław dużo mówi mi o swojej słabości, która była w emocjach we wczesnym dzieciństwie. W więzieniu poszedł na terapię DDA: – Wyszło, że to był ten element – mówi o ojcu, który pił. – To nie jest wina mego ojca, że jestem kryminalistą – i przechodzi do filozofii Freuda: – Według niego trzeba się doszukiwać wszystkich dysfunkcji dorosłego człowieka właśnie we wczesnym etapie życia, czyli do trzech lat. Nie byłem kompletnie wyposażony do dorosłego życia. Później pewne elementy przypomniałem sobie i wiedziałem, gdzie jest ta słabość, którą dorośli popełniali. Ale ciągle podkreślam, że nie mieli z tym nic wspólnego. To kwestia

emocji, a później środowiska – wspomina młodość. – Kraków był tygłem grup przestępczych. Teraz tylko po nich strzępy zostały – choć na początku lat dziewięćdziesiątych ten świat mu imponował. – To też wypaczyło moją psychikę – dodaje.

Jarek pracuje w bibliotece więziennej. Pytam, jak przetrwał 21 lat w więzieniach?

– Zawsze starałem się trzymać blisko ludzi, którzy coś sobą reprezentowali. Dla mnie autorytetem w więzieniu nie był ktoś z dużą objętością bicepsa, ale wychowawca, psycholog, mój pracodawca – wymienia.

Oprócz fryzjerstwa i psychologii lubi biegać na długich dystansach. Na warunkowej wolności biegał maraton. Z więzienia wychodzi na cykliczne imprezy biegowe. Najbardziej tęskni za żoną: – Ona wszystko rozumie, co się w moim życiu dzieje. Tęsknię też za przyjaciółmi, choć teraz to bardzo skromna grupa ludzi. To utopijne, ale chciałbym być ostatnim więźniem tego systemu. Nie jest to możliwe, ja wiem. Kiedyś stąd wyjdę i przyjdą kolejni. Ale chciałbym być ostatnim więźniem – powtarza.

W więzieniu uczestniczył w projekcie pisania ikon. Wtedy nikt nie pytał go o wyznanie. Przed wyrokiem obchodził święta katolickie. Teraz nie jest związany z żadną religią. Żona jest wyznania prawosławnego.

– Święta są dla ludzi wolnych i szczęśliwych. To konglomerat całorocznej pracy i trudu, aż nadchodzi moment na duchowe wytchnienie i bycie z rodziną. Nie dla ludzi, którzy nawywijali w tym życiu – mówi.

Po wyjściu chce wrócić do fryzjerstwa, do domu i do znajomych, do miejsca, które szczerze pokochał. – Wcze-

śniej nie dawałem sobie prawa do takich emocji. Uważałem, że czyn, którego się dopuściłem, jest zaprzeczeniem wszystkiego. Wszystkich elementów człowieczeństwa. Że zasługuję tylko na klatkę i gdyby ktoś się znalazł, to skróciłby te męczarnie. Karciełem się. Natomiast czas pokazał mi inną stronę, sposoby i powody, dla których postanowiłem inaczej. Nie daję sobie prawa do życia na ziemi, tak jak ludzie bez tego bagażu doświad-

czeń. Uważam się za porażonego prądem – wyjaśnia.

Kiedy nadchodzą święta, atmosfera mu się udziela. W zakładzie mają ich namiastkę: są choinki, kuchnia inaczej pracuje i są świąteczne akcenty w posiłkach wieczornych. Są sytuacje, że przygotowują stół i jedzą wspólnie, co mają.

– Zostając w celi dotykamy takich wartości jak rodzina, tradycja, wspomnienia, bo są osoby, które mają dzieci

i chciałyby dać im prezenty. Przeżywamy to przez pryzmat żalowania, że akurat jestem tu, a nie tam. Nawet w charakterze, że gdybym nie popełnił tych przestępstw, to byłbym teraz z rodziną. To nie jest na zasadzie typowego cwaniactwa: zamknęli mnie, nie mogę obchodzić świąt. Zdarza się, że kiedy gaśnie światło to wśród nocnej ciszy płaczemy. Nie śpiewamy, ale płaczemy.



MARTYNA BIELSKA

– urodzona w 1983 roku. Pochodzi z Knyszyna. Ukończyła historię na Uniwersytecie w Białymstoku i dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 2009–2019 była dziennikarką TVN24 i „Gazety Wyborczej”. Lubi i pi-

szcze reportaże. Od 2020 także powieść kryminalną z miejscem akcji osadzonym w Białymstoku. Po godzinach opiekuje się pszczołami, jeździ na rolkach i fotografuje aparatem analogowym.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol



MARCIN POWAŻA

– rocznik 1984. Absolwent Liceum Plastycznego w Supraślu i ASP w Łodzi. Grafik ilustrator. Pracuje przy realizacjach z zakresu komercyjnej grafiki

reklamowej, m.in. reklama telewizyjna i animacja. Zainteresowania: sztuka współczesna, muzyka i popkultura.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol